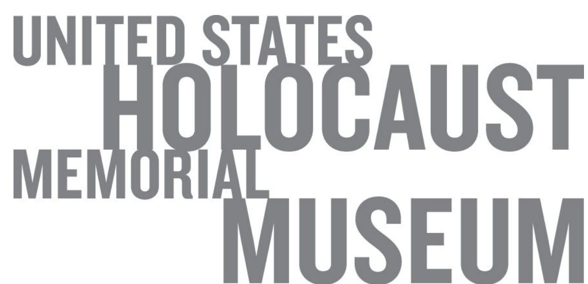




Claims Conference Holocaust Survivor Memoir Collection

Access to the print and/or digital copies of memoirs in this collection is made possible by USHMM on behalf of, and with the support of, the Conference on Jewish Material Claims Against Germany.



Józef Lucjan
Meszorer

HOLOKAUST
Fotografie z pamieci

Józef Lucjan Meszorer
(Josef Meshorer)

HOLOKAUST

FOTOGRAFIE Z PAMIĘCI

Toronto
2008

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE

Nigdy nie zamierzałem pisać wspomnień z czasów Holokaustu. Uważałem, że nie mam nic oryginalnego do powiedzenia, poza tym nie mam żadnych talentów ani aspiracji literackich.

Pamiętam względnie dużo z tamtych czasów, ale pamięć moja jest ściśle fotograficzna. Pamiętam nawet bardzo szczegółowo, "w kolorach", obrazy, sytuacje, lokalizacje, najczęściej z bardziej drastycznych, lub przełomowych w moim życiu jako dziecka momentów, ale nie pamiętam, kto co powiedział i jakie były mentalne przeżycia uczestników, czy świadków danych sytuacji.

Moje fotograficzne obrazy są często nawet ruchome, są odcinkami filmu, ale w zasadzie niemego, więc, poza opisami sytuacji, czy akcji niewiele mam do przelania na papier.

W 1998 r., w związku z przypadającą w marcu tegoż roku ósmą rocznicą przedwczesnej śmierci profesora Klemensa Szaniawskiego, dziennikarka Gazety Wyborczej, Magda Grochowska, przygotowująca, w porozumieniu z rodziną Klemensa, wspomnienie o Nim do Gazety, zwróciła się do mnie o napisanie reminiscencji z przebywania z Nim pod wspólnym dachem w okresie II wojny światowej.

Po zebraniu wszystkiego, co pamiętałem o Klemensie i o dwóch latach mojego ukrywania się pod opieką jego matki - pani Stanisławy Szaniawskiej, rozszerzyłem ten mój rejestr o najbardziej pamiętne dla mnie wydarzenia z okresu od początku wojny i pobytu w warszawskim Getcie.

Opublikowane w 2001 r. wspaniałe dzieło Barbary Engelking i Jacka Leociaka p.t. "GETTO WARSZAWSKIE, PRZEWODNIK PO NIEISTNIEJĄCYM MIEŚCIE" i zawarte w nim mapy getta, poza potwierdzeniem szeregu sytuacji i wydarzeń, które zapisałem, pamiętając je jakby przez mgłę, umożliwiły mi sprecyzowanie wszystkich adresów pod którymi mieszkałem, lub które znałem w getcie.

W sumie jest to kolekcja moich fotografii z pamięci.

Niniejszy tekst, zatytułowany „Wspomnienia z okupowanej Warszawy”, został opublikowany po raz pierwszy w Kwartalniku Historii Zydów, wydanym przez Zydowski Instytut Historyczny w Warszawie, w czerwcu 2002 r., Nr. 2 (202).

Wydarzenia opisane poniżej zostały w dużej mierze opowiedziane przeze mnie i zapisane w formie wideo po raz pierwszy w trakcie wywiadu przeprowadzonego ze mna, w języku angielskim pod auspicjami Toronto Jewish Congress, w dniu 18 lutego 1988 r.

Kolejny zapis moich wspomnień został dokonany przez „Survivors of The Shoah, Visual History Foundation” (Steven Spielberg’s Foundation) w dniu 23 lutego 1995 r. (Interview # 01112), również w Toronto, Kanada.

Josef Meshorer

Toronto, Maj 2008 r.

LATO 1939

Dużym dla mnie wydarzeniem były moje siódme urodziny w lipcu tego roku. To były moje pierwsze i jedyne obchodzone urodziny, jakie pamiętam. Ponieważ moi rodzice nie organizowali, ani nie celebrowali żadnych świąt czy uroczystości, tym razem moja ciocia Nina[1] postanowiła urządzić mi urodziny. Przywiozła ze sobą tort ze świeczkami i może całe przyjęcie, ale największym wydarzeniem było wyświetlenie przez jej męża, wujka Ignasia, amatorskiego filmu[2], nakręconego z ich ubiegłorocznej podróży samochodem do Gdańska i nad Bałtyk. Z okazji urodzin dostałem w prezencie używany trójkołowy rowerek od moich kuzynów Witka i Jurka Grosmanów.

Nieco później pamiętam pierwsze widoczne przygotowania do wojny, już w początkach sierpnia 1939r. - kopanie rowów w parku, do którego zwykle chodziłem. Ten park miał dziwną nazwę "Ogród Pomologiczny". Główne wejście do niego było od ulicy Nowogrodzkiej. Zaczynał się od Emilii Plater, a kończył się przy Chałubińskiego, gdzie zimą było zawsze lodowisko.

Rowy kopali prawdopodobnie ochotnicy, przychodzący grupami, ubrani biurowo, pamiętam, że w białych koszulach. Ktoś im wydawał łopaty i w wytyczonych miejscach kopali rowy. Rowy były prowadzone zygzakami, przez trawniki i alejki w poprzek parku.

Ostatnie dni sierpnia spędziłem, razem z siostrą, u cioci Niny w Skolimowie. Była tam dwupiętrowa, drewniana willa, stojąca wśród wysokich sosen. Z przodu był duży ogród kwiatowy, a przy wjazdowej bramie stał mały domek, w którym mieszkał starszy ogrodnik. Oprócz cioci, jej syna Marysia i nas, w tym czasie nikogo więcej w domu nie było.

WOJNA

Oblężenie Warszawy

Pamiętnego dnia, pierwszego września, wiedzieliśmy z radia, że coś strasznego się wydarzyło. Mieliśmy nie wychodzić z domu, ale

[1] Nina Kőnigstein (1905 - 1987), siostra mojej Mamy.

[2] Następny raz oglądałem mój prawdziwy film dopiero po wojnie, w kinie Syrena, na Pradze.

około południa Maryś i ja wyślizgnęliśmy się na taras i ukryci pod stołem, obserwowaliśmy niebo, oczekując, zapowiedzianych przez radio, niemieckich samolotów.

W końcu zobaczyliśmy bardzo wysoko i jakby wolno lecący mały samolot. Rzekomo był to niemiecki samolot zwiadowczy. Obydwaj strzelaliśmy do niego z patyków, spod stołu.

Dzień, albo dwa później wróciliśmy do Warszawy, ale już nie do naszego mieszkania w Alejach Jerozolimskich 43, ale do mieszkania ciotki, które mieściło się na ul. Wilczej, róg Emilii Plater. Głównym powodem tego było, że nasz dom znajdował się naprzeciwko dworca kolejowego, Warszawa Główna, który mógł być obiektem bombardowań i ataku.

Drugim powodem był fakt, że dom ciotki był nowoczesny, luksusowy i miał dobrze przygotowaną jako schron przeciwlotniczy piwnicę. Oprócz mnie, mojej siostry, naszej mamy i cioci Niny z Marysiem, była z nami nasza babcia[3], a pod koniec oblężenia Warszawy przyłaczyła się do nas ciotka Janka Krakowska z 12-letnią córką Wandą.

Mój ojciec[4] i wujek Ignaś, ojciec Marysia, zgodnie z apelem władz, opuścili Warszawę, udając się na wschód. Z późniejszych opowiadań wiem, że przeprawili się jakoś przez Bug i dotarli do zajętego już przez Rosjan Brześcia Litewskiego.

Na początku siedzieliśmy w schronie w ciągu dnia w czasie alarmów lotniczych, a w nocy chodziliśmy spać na górę, ale w czasie oblężenia Warszawy już ze schronu wogóle nie wychodziliśmy. Najgorzej było z moją 20-miesięczną siostrą, która ciągle, chyba głównie z głodu, płakała i wołała *“**buła**”.* Ludzie w schronie denerwowali się i w rezultacie moja mama chodziła z nią nocować na górę do mieszkania. W ciągu dnia mama wychodziła na miasto i wystawała w ogonkach po chleb, jakiekolwiek jedzenie i wodę.

Gdy Warszawa się poddała, wróciliśmy na górę i rozkoszowaliśmy się obiadem, jedzonym przy stole w jadalni.

---

[3]Emilia Kaftal, zamordowana w Treblince, we wrześniu 1942r.

[4]Albert (Aryel) Meszorer (1905 - 1963), adwokat, od 1956r. sędzia Sądu Najwyższego.

Przez okna wychodzące na ulicę Koszykową, zobaczyliśmy palący się jeszcze budynek Politechniki. Na skwerku przed Politechniką leżał zabity koń.

Niespodziewana wizyta

To mógł być jeden z pierwszych dni okupacji. Siedzieliśmy przy obiedzie, na który ciocia Nina zrobiła szpinak z jajkami sadzonymi. Szpinak był podany na półmisku, a kształtne jajka, zrobione na specjalnej patelni – dołkownicy, były wciśnięte w szpinak, co robiło wrażenie wieńca.

Nagle odezwał się dzwonek u drzwi i gdy ciocia otworzyła, do mieszkania wtargnęła grupa oficerów niemieckich. Weszli do jadalni, gdzie siedzieliśmy i jak się okazało, przyszli zarekwirować srebrne sztućce.

Ciocia przyniosła duży kosz do bielizny i popłakując, zaczęła wyciągać sztućce z kredensu. Jeden z Niemców robił spis sprzętu wkładanego do kosza. Gdy kosz został wypełniony, towarzyszący oficerom żołnierze go wzięli i Niemcy wyszli. Ciocia wtedy dopiero rozpłakała się histerycznie. Jak się okazało, sztućce zostały "wypożyczone" przez Wermacht na przygotowywane przyjęcie w Zamku Królewskim na cześć Hitlera, który przyjechał do Warszawy i odbierał paradę zwycięską w Alejach Ujazdowskich.

W domu

Niedługo po tym wydarzeniu, wróciliśmy do naszego mieszkania w Alejach Jerozolimskich. Po kilku tygodniach wrócił mój ojciec i wujek Ignaś, zaś wkrótce po ich powrocie Niemcy zarekwirowali cały budynek przy Wilczej i wujowstwo musieli się przeprowadzić do nas. Mnie taka sytuacja odpowiadała bo miałem kuzyna do wspólnych zabaw.

Przez krótki okres, po powrocie w Aleje, zacząłem chodzić do szkoły, do drugiej klasy. Szkoła mieściła się w częściowo zbombardowanym budynku przy Marszałkowskiej, koło Żurawiej. Nauka moja trwała niedługo, może kilka tygodni, bo Niemcy zakazali

dzieciom żydowskim uczęszczania do szkół. Po jakimś czasie, dopiero wiosną 1940r., mamie udało się załatwić przyjęcie mnie do prywatnej szkoły, mieszczącej się przy ul. Hożej. To była t.zw. Szkoła Pani Stopczykowej. Pamiętam, że byłem przyjęty tam nieoficjalnie, nie było mnie na liście obecności i wiedziałem, że w razie nadchodzącej inspekcji niemieckiej, mam natychmiast przejść do znajdującego się na tym samym piętrze mieszkania pewnego nauczyciela (wejściem kuchennym). Napewno przeszedłem tam conajmniej jedną taką inspekcję. Wiem, że oprócz mnie, było tam jeszcze kilkoro dzieci żydowskich.

Duże zaniepokojenie w całej naszej rodzinie sprawiło nagłe pojawienie się w naszym mieszkaniu Niemców, którzy, jak się okazało, przynieśli z powrotem całą zastawę srebrną, zarekwirowaną po wkroczeniu do Warszawy. Żądali sprawdzenia stanu i tłumaczyli, że jakiś drobiazg brakuje i nie mogli go odnaleźć.

Ta wizyta bardzo rozstroiła wujostwo, ponieważ mieli nadzieję, że wyprowadzając się ze swego mieszkania na Wilczej, zatrą po sobie ślady, a tymczasem Niemcy ich odnaleźli bez trudności.

Niedługo potem przybyła inna grupa umundurowanych Niemców, którzy zabrali z naszego mieszkania szereg wartościowych rzeczy, m.in. te same srebra, pianino rodziców i moje skrzypce, na których zaczynałem uczyć się grać. Tym razem zarekwirowanych rzeczy nigdy już nie zobaczyliśmy.

Za murem

Z murem zapoznałem się 15 listopada 1940 roku, kiedy zostaliśmy ostatecznie zmuszeni do przeprowadzki do otoczonego właśnie świeżo zbudowanym murem, Getta.

Nasze pierwsze mieszkanie w Getcie było w ogromnym, trzypodwórzowym domu przy ulicy Świętojerskiej 30, naprzeciwko Ogrodu Krasińskich. Mieszkanie było na dziewiątym piętrze, składało się z jednego pokoju z oknem, wychodzącym na podwórze. Wchodziło się do niego przez pierwszą prawą klatkę schodową od podwórza. Połączenie z resztą dawnego, frontowego mieszkania było poprzez drzwi, obecnie zastawione ciężkim kredensem.

Przyjechałem tam z mamą tramwajem, z którego, po przejechaniu już funkcjomującej bramy przy placu Krasińskich, wysiedliśmy przy ulicy Bonifraterskiej.

Nasze bagaże i niektóre meble z Alei Jerozolimskich były już przewiezione na miejsce. Zostały mi w pamięci, nieprawdopodobne dla mnie wtedy, tłumy ludzi, idących z bagażami chodnikiem i jezdnią, ciągnących różne wózki, wśród których przeciskał się nasz tramwaj.

Po drugiej stronie ulicy był Ogród Krasińskich, już zasłonięty na całej długości murem. Mam wrażenie, że pamiętam jeszcze tą okolicę z czasów, gdy był tam parkan - ogrodzenie z żelaznych prętów z niskim murkiem (podobnie jak w Łazienkach), po którego szczycie chodziłem, trzymając się ogrodzenia.

Prawie naprzeciwko naszego domu, znajdował się na terenie Ogrodu jednopiętrowy budynek przychodni medycznej, do której przez jakiś czas można było się dostać przez wejście po schodkach od ulicy Świętojerskiej (Nr. 19).

Przez to wejście, od przeprowadzki do Getta do połowy grudnia 1940 roku, przechodziłem codziennie, żeby dotrzeć do szkoły (pani Stopczykowej), znajdującej się przy ul. Hożej. Wychodzenie z Getta było zorganizowane z pomocą zarządcy budynku, do którego gabinetu szedłem prosto z wejścia od ul. Świętojerskiej. Część kliniki, obsługująca (w pewnym stopniu) pacjentów z Getta, była wewnątrz oddzielona od części aryjskiej.

Zarządca przeprowadzał mnie drugimi drzwiami z gabinetu prosto do Ogrodu, którego alejkami szedłem dalej do bramy, wychodzącej na plac Krasińskich. Po alejkach chodzili i na ławkach w Ogrodzie siedzieli, opatrzeni bandażami, żołnierze niemieccy. Na Miodowej wsiadałem w tramwaj, którym jechałem, z przesiadką, do szkoły.

W drodze powrotnej spotykałem pannę Bronię[5], która zaopatrywała mnie w jedzenie (głównie ser i smalec), które jakoś w

---

[5]Bronisława Knyszewska była przed wojną nianią mojego kuzyna, a po przesiedleniu cioci Niny z rodziną do Getta, zamieszkała w naszym dawnym mieszkaniu w Al. Jerozolimskich i prowadziła wszystkie sprawy naszej całej rodziny. W 1980r. została odznaczona przez Yad Vashem medalem “Sprawiedliwy Wsród Narodów ·Swiata”.

długich i wąskich pakunkach zawieszałem sobie na szyi pod paltem, żebym je przeniósł do domu. Po wojnie mama mi powiedziała, że część tych produktów sprzedawała w Getcie.

Jednego dnia, gdy wyszedłem rano, przeszedłem przez plac Krasińskich i znalazłem się na schodkach kościoła na rogu Długiej, może nawet wszedłem do środka na chwilę. Przy wejściu podszedł do mnie ksiądz i zaczął mnie wypytywać jakoś bardzo nie przyjemnie o coś: skąd przyszedłem, dlaczego tu się kręcę itp. Przestraszyłem się, czując się zdemaskowany, zawróciłem do Getta, i z płaczem oświadczyłem rodzicom, że już więcej nie chcę z niego wychodzić.

Szkoła została zawiadomiona, że zachorowałem i wrócę napewno po świętach. Za kilka dni dostałem kartę z życzeniami wyzdrowienia, podpisaną przez współuczniów i dwóch nauczycieli. Na tym się skończyła moja nauka w szkole - aż do 1945 roku.

Żyjąc w Getcie, chodząc po ulicach, stale się w jakimś punkcie dochodziło do tego strasznego muru. Był on bardzo wysoki (3 metry) i z drutem kolczastym na szczycie. Wiele ulic rozdzielał wzdłuż. Ulice były naogół wąskie, więc nie było wogóle widać drugiej strony, nawet domów.

Jedynym miejscem, gdzie mogłem zobaczyć kawałeczek świata z drugiej strony, był drewniany most nad ulicą Chłodną, łączący “Duże Getto” i “Małe Getto”.

Ponieważ w Małym Getcie, na Śliskiej mieszkała moja ciocia Nina z mężem i synem, odwiedzałem ich często, żeby pobawić się z kuzynem, a przy okazji coś zjeść. Chodziłem tam sam, jak właściwie wszędzie po Getcie.

Przechodzenie mostem nie było bezpieczne, bo można było narazić się w jakiś sposób pilnującym go Niemcom, i zostać pobitym, albo postrzelonym.

Najgorsze wrażenie po murze pozostało mi w pamięci z ulicy Orlej, po której szedłem z mamą, już w czasie rozpoczętych wywózek w drugiej połowie lipca 1942 roku, w zupełnie niezapamiętanych przeze mnie okolicznościach (dlaczego akurat tam i w takim czasie musieliśmy przejść ?).

To musiało być zaraz po obławie z domów na tym odcinku ulicy. Była ona skąpana w słońcu, na ulicy nie było nikogo, nikogo w oknach domów, a na chodniku i jezdni rozrzucone śmiecie, albo raczej pozostawione rzeczy ludzi, właśnie złapanych[6].

ŻYCIE W GETCIE

Życie naszej rodziny w getcie napewno nie było obrazem typowym, ponieważ byliśmy zasymilowani (conajmniej od dwóch generacji), mówiliśmy tylko po polsku i większość naszych znajomych i kontaktów pozostała, mniej lub bardziej oficjalnie, za murem. Ponadto moja pamięć obserwowanych wydarzeń jest napewno inna, niż ludzi dojrzałych i mających szerszy widnokręg.

Świętojerska

Z okresu mieszkania w tym ogromnym domu na Świętojerskiej pamiętam tylko kilka szczegółów**:** zainstalowaną w pokoju “kozę” - żelazną kuchenkę z dwiema fajerkami, która służyła do ogrzewania, przygotowywania jedzenia i grzania wody do mycia. Paliło się w niej węglem, po który chodziłem z ojcem do piwnicy, gdzie widocznie mieliśmy swoją komórkę. Trzymałem świeczkę, a ojciec nabierał węgiel do kubełka, który potem niósł, długo i powoli, schodami na dziewiąte piętro. To było prawdopodobnie jedyne zajęcie fizyczne mojego ojca i musiało być dla niego niesłychanie trudne, ponieważ, jak wiem, nigdy w życiu nie wykonywał prac fizycznych. Ojciec od pierwszej chwili, w celach zarobkowych zaczął oferować usługi prawne, które głównie polegały na pisaniu podań dla klientów. Niektórzy klienci przychodzili do mieszkania i ojciec na poczekaniu spełniał ich zamówienia, pisząc ich podania na zabranejdo getta swojej starej maszynie do pisania.

Na Świętojerskiej mieszkaliśmy do wiosny 1941r., kiedy to przeprowadziliśmy się do znacznie lepszego mieszkania na Lesznie.

---

[6]Podobną sytuację zobaczyłem po raz drugi dopiero w filmie Spielberga “Lista Schindlera”, w scenie obławy na Żydów i likwidacji getta krakowskiego.

Leszno

Nie byłem pewien numeru domu, ale ostatnio przy pomocy mapy ustaliłem, że to było Leszno 34. Był to drugi dom na prawo, licząc od znajdującego się obok, za jeszcze jednym małym budynkiem, kościoła Karmelitów. Mieszkanie było na 4-ym piętrze. Miało numer 7, tak jak nasze mieszkanie w Alejach Jerozolimskich. Dotrzeć można było do niego schodami frontowymi, a także kuchennymi. Schody frontowe były szerokie, marmurowe, a poręcze bogato ozdobione, podobnie jak solidne, drewniane drzwi do mieszkań.

Mieszkanie składało się z 3 pokoi we frontowej części i jadalni oraz kuchni, po drodze do której był jeszcze jeden pokój. Teraz w każdym pokoju mieszkała jedna rodzina. Właściciel mieszkania, robiący na mnie wrażenie samotnego dziwaka, zajmował jeden wielki, frontowy pokój z balkonem. Udawało mi się czasem tam zajrzeć: cały pokój był załadowany różnymi meblami i paczkami, stojącymi w stosach.

Nasza rodzina, składająca się z rodziców, nas dwojga dzieci i babci, zajęła dawny pokój stołowy, którego część została odgrodzona rzędem wielkich szaf. Tych szaf, różnej wysokości i szerokości było conajmniej 5 i ustawione były w literę “L”, tworząc korytarz, łączący pokoje frontowe z częścią kuchenną.

Oświetlenie

W rogu naszego pokoju było okno z oszklonymi drzwiami i żelazną barierą. Okno wychodziło na podwórze domu.

Najbardziej imponujacy, ale jednocześnie budzący moje przerażenie, był ogromny, kryształowy żyrandol. Musiał mieć rozpiętość prawie dwóch metrów. Kiedyś zwisał nad stołem jadalnym, ale obecnie chodziliśmy pod nim, a łóżka, stanowiące nasze główne umeblowanie, stały przy ścianach i tyłach szaf. Ciągle obawiałem się, że żyrandol może nagle spaść nam na głowy. Kolos nie był nigdy używany. Do oświetlenia służyła lampa karbidowa, a gdy brakowało

karbidu, albo przepalił się palnik, lampa naftowa, lub w ostateczności zapalaliśmy świece.

Po pewnym czasie, przyszli robotnicy i w miejscu zawieszenia tego żyrandola (nie zdejmując go) podłączyli rurę gazową[7], a u jej wylotu zainstalowali lampkę gazową, składającą się z palnika i otaczającego go koszyczka z siatki metalowej. Lampa gazowa dawała na tyle dużo światła, że cały pokój był oświetlony. Palnik bywał często zanieczyszczony, a siateczka się przepalała i ustawicznie ją wymienialiśmy. Używana dotychczas lampa karbidowa dawała znacznie jaśniejsze światło, niż naftowa, ale jasno było tylko w jej pobliżu, a reszta pokoju była ciemna.

Ogrzewanie

Gotowanie jedzenia odbywało się podobnie, jak na Świętojerskiej, na zainstalowanym w pobliżu balkonu żelaznym piecyku, który miał tylko jedną dziurę z fajerkami. Rura z tego piecyka wychodziła przez okno balkonowe.

Przygotowując się do kolejnej nadchodzącej zimy, jesienią 1941 roku rodzice zrobili kosztowną, ale napewno konieczną inwestycję w postaci pieca na trociny drzewne. Ten piec uchodził za nowy wynalazek przemysłu gettowego, wykorzystujący jedyny, względnie łatwo dostępny w Getcie środek opałowy, jakim były trociny.

Piec miał kształt dużego walca, średnicy beczki i był napewno wyższy ode mnie. Pomalowany był na niebiesko. Jego górna powierzchnia miała otwór na fajerki, na których gotowało się potrawy w garnku. Obok mieściły się także i inne naczynia, więc można było jednocześnie coś grzać.

Ładowanie trocin do pieca było dość skomplikowane. Kiedy piec był zimny, zdejmowało się jakąś jego część, wsypywało trociny warstwami, które trzeba było ubijać przy pomocy specjalnej ubijaczki, przypominającej grubą pałkę. Zaletą tego pieca było, że po zapaleniu, ubite trociny paliły się powoli i jeden załadunek starczał na cały dzień, a może i nawet na całą dobę.

---

[7]Myślę, że doprowadzenie gazu istniało tam jeszcze z czasów przed elektrycznością.

Jednocześnie z instalacją pieca, w dużej, ale w małym stopniu użytkowanej kuchni (poza tym, że we wnęce dla służącej mieszkała jakaś kobieta z dzieckiem), urządzono magazyny do przechowywania trocin. Wzdłuż długiej ściany kuchni zbudowano drewniane, sięgające sufitu przegrody. Było ich cztery albo pięć, osobno dla z lokatorów mieszkania, u których zainstalowano takie same piece. Każda przegroda miała szerokość rzędu 1 metra. Górna część była otwierana celem wsypywania trocin, a przy podłodze był otwór z zasuwą, przez który nabierało się trociny do przeznaczonego do tego celu prostokątnego metalowego kubła.

Gdy zapas trocin się kończył, dostawcy przynosili w ogromnych worach, przyczepionych specjalną uprzężą do pleców, nowe trociny. Wnosili te wory sprawnie, po schodach na każde piętro.

Jedzenie

Główną, zapamiętaną przeze mnie potrawą, kórą się gotowało na tym piecu, była mrożona brukiew. Mama usiłowała ją przyrządzać różnymi sposobami, zależnie od możliwości zdobycia jakichkolwiek dodatków. Po wyjściu z Getta już nigdy więcej brukwi nie jadłem. Jako największy przysmak, który kiedyś mama zrobiła, pamiętam ugotowaną marchewkę z pływającą w niej kulą z mącznego ciasta. Całość była posłodzona sachaTryną. Nazywało to się *kugiel*[8].

Chleb, jeśli bywał, to wyłącznie na kartki i jakoś jego istnienia wogóle z okresu Getta nie pamiętam. Któregoś dnia idąc z matką po ulicy, natrafiliśmy na piekarnię, na której wystawie leżało kilka *grahamek.* Po moich długich naleganiach, mama zgodziła się kupić mi jedną taką bułkę. Kosztowała drogo i okazało się, że była upieczona z otrębów. Smakowała mi jak przed wojną.

Nauka i inne zajęcia dziecinne

Po przeprowadzce na Leszno, mama starała się znaleźć dla mnie jakieś zajęcie. W rezultacie dostałem się na zastępujący szkołę kurs.

[8]Później, w czasie mojego pobytu u pani Szaniawskiej, opowiadałem jej o tej smacznej potrawie. Okazało się, że mimo dużej wiedzy kulinarnej, takiej potrawy nie znała, ale domyślając się jej pochodzenia, prosiła, żebym więcej o tym nikomu nie wspominał.

Zajęcia odbywały się niedaleko od nas, po drugiej stronie Leszna pod Nr. 35. Był to lokal rozrywkowy, a także kino o nazwie "Femina". (Pamiętam wiszące przy wejściu plakaty z zawiadomieniami o występach artystów). Na tym kursie było kilkadziesiąt dzieci w różnym wieku. Nie pamiętam żadnych zajęć, a tylko siedzenie przy stolikach, przy których dostawaliśmy coś do jedzenia. Po krótkim okresie te zajęcia z jakichś powodów się skończyły, albo zostały zwyczajnie zakazane.

Następną moją szkołą, już jesienią 1941r, były komplety, zorganizowane w budynku plebanii sąsiadującego z naszym domem kościoła Karmelitów. Mamie udało się mnie jakoś tam zapisać. Klasa, złożona z może 20 różnego wieku dzieci, prowadzona była przez jedną nauczycielkę. Pokój był mały i ledwo mieścił tyle uczniów. Klasa była wyposażona w prawdziwe ławki szkolne i stolik nauczycielki, ale nie było tablicy. Nie pamiętam, co robiliśmy na zajęciach, ale jakiś stopień dyscypliny tam obowiązywał. Jedyne, co z uczęszczania tam zapamiętałem, to jedno, bardzo nieprzyjemne dla mnie wydarzenie, które ja sam spowodowałem. Musiało to być niedługo przed świętami Bożego Narodzenia. Odbywały się przygotowania do urządzenia choinki, do której dekoracji nauczycielka miała przygotowane trochę bardzo skromnych cukierków (najwyżej po jednym na każde dziecko). Cukierki trzymane w szufladzie nauczycielskiego stolika, ukradłem i zjadłem. Nawet ich smaku, ani wyglądu nie pamiętam. Sprawa się zaraz wydała, było dochodzenie, przyznałem się do winy. Rodzice musieli odkupić te cukierki i miałem je przynieść jeszcze przed świętami. Pamiętam, że chodziłem z mamą po całym Getcie w ich poszukiwaniu. Wreszcie znaleźliśmy odpowiednie, ale bardzo kosztowne, które odniosłem, i tak sprawa została zamknięta. Możliwe, że po tym wypadku, więcej mnie w szkole nie trzymali, albo też te zajęcia zostały zakazane.

Wiosną 1942 r. na małym skwerze przylegającym do tego samego kościoła od strony rogu Karmelickiej i Leszna, zostalo zorganizowane coś w rodzaju ogródka jordanowskiego. Chodziłem tam codziennie i bardzo mi się tam podobało. Do dziś mam uczucie, że była to jakby oaza spokoju. Getto było za murem. Nawet dawano nam coś do jedzenia. Głównym zajęciem chłopców była gra w "*pikuty*".

Rzucało się nożami na malutkim kawałku ziemi pod ogromnym drzewem, tuż przy murze, oddzielającym skwerek od ulicy Leszno. Nauczyłem się tam właściwie geografii świata, bo w tej grze walczyliśmy o terytoria w różnych krajach. Niektórzy chłopcy byli napewno starsi i mieli sporo wiadomości z geografii. Po krótkim okresie ten ogródek też się skończył, zdecydowanie na skutek zakazu wydanego przez Niemców.

Kolejnym miejscem, gdzie rodzice mnie umieścili, był teren jakiegoś zburzonego garażu przy ulicy Wolność. Zorganizowano tam coś w rodzaju półkolonii, nawet ponoć oficjalnie nazwanej ogródkiem dla dzieci pracowników Judenratu. Mój ojciec pracował wtedy jako urzędnik biura kwaterunkowego Judenratu, mieszczącego się, jak mi się wydaje w pobliżu, w narożnym budynku przy ulicy Nowolipie.

Odbyło się nawet oficjalne otwarcie tego “ogródka”, prawdopodobnie z udziałem prezesa Czerniakowa. To musiało być w końcu czerwca, albo w pierwszych dniach lipca 1942 roku. Na tym terenie były tylko resztki ścian zbombardowanego budynku i pozostałości różnych materiałów, z których, bawiąc się, zwykle coś budowaliśmy. Jak pamiętam, przynoszono nam jakąś zupę i to było główną i najbardzej wyczekiwaną atrakcją tego miejsca. Rano wychodziłem z domu razem z ojcem, szliśmy razem i rozstawaliśmy się przy wejściu do jego biura. Po pracy przychodził po mnie na teren “ogródka” i wracaliśmy razem do domu.

To wszystko trwało około dwóch tygodni. Cały czas było słonecznie, gorąco i sucho. Nie pamiętam, jak to się skończyło, oprócz wrażenia jakiegoś niepokoju - ciszy przed burzą. I burza przyszła wkrótce.

Pierwsza likwidacja Getta

Akcja likwidacji dzieci i masowego wywożenia Żydów do Treblinki, rozpoczęła się 22 lipca 1942 roku. Zaczęło się od łapanek na ulicach i obław w poszczególnych domach, z których wyciągano wszystkich mieszkańców i wyprowadzano na Umschlagplatz do wywiezienia. Przeżyliśmy w naszym mieszkaniu na Lesznie takie dwie obławy. Właściciel mieszkania zorganizował jakimś sposobem oficjalne

zaświadczenie o tyfusie z urzędu epidemologicznego, które powieszono na drzwiach wejściowych, jednocześnie zawieszając na nich kłódkę. Siostra i ja leżeliśmy na wszelki wypadek w łóżkach jako chorzy i musieliśmy być cicho, nie podchodzić do okna, żeby nie być słyszanym i widzianym z zewnątrz.

Szop Többensa

Przebywaliśmy wtedy całą rodziną (t.j. moi rodzice i ja z siostrą) na terenie "szopu" Többensa przy ul. Prostej 14, gdzie mój ojciec był zatrudniony w biurze administracji, a mama na hali maszyn do szycia, jako szwaczka. Ten "szop" produkował mundury. Jej zadaniem było szycie kieszeni, norma - 250 sztuk dziennie. Byliśmy tam na stałe od 6 sierpnia, gdyż rodzice uznali, że było zbyt niebezpiecznie zostawiać nas w naszym dotychczasowym mieszkaniu na Lesznie.

Nasze całe gospodarstwo stanowił jeden materac, ułożony na podłodze w mieszkaniu na trzecim piętrze, do którego wchodziło się po jednej z klatek schodowych z podwórza terenu "szopu". W tym, najwyżej dwu pokojowym mieszkaniu koczowało jednocześnie kilkadziesiąt rodzin, których członkowie pracowali u Többensa.

Na terenie "szopu" było dużo dzieci, w tym moich rówieśnikow, z którymi urządzaliśmy improwizowane zabawy, a moja siostra bawiła się często w kupce piasku koło jedynego drzewka rosnącego na podwórzu.

13 sierpnia 1942 r. od rana wśród tłumu ludzi kręcących się na terenie szopu, wszczęła się panika i ludzie zaczęli się ukrywać we wszystkich możliwych zakamarkach. Moja siostra w tym czasie była gdzieś z mamą, a ja stałem w potwornym tłoku, w jakimś ciemnym, wąskim, zamkniętym korytarzyku, na drugim piętrze. Taki stan trwał kilka godzin i około południa, alarm został odwołany. Wiadomo było, że część ludzi, takich, którzy nie zdołali się ukryć, została zabrana z terenu przez Niemców i policję[9].

---

[9]Abraham Lewin w swoim, przechowanym w Archiwum Ringelbluma dzienniku z warszawskiego Ghetta, pod datą 13 sierpnia zanotował:"23-ci dzień rzezi Żydów Warszawy. Dziś około 3600 osób zostało wyprowadzone z szopu Többensa, przeważnie kobiet i dzieci, na Umschlagplatz".

Po jakimś czasie znowu się wszczął alarm i wszyscy latali, starając się gdzieś skryć. Ja wleciałem na halę maszyn na drugim pietrze, gdzie pracowała moja mama. Było tam kilkaset nożnych maszyn do szycia z operatorami, kobietami i mężczyznami. Odnalazłem matkę i się pytałem, co mam robić. Po chwili był podany sygnał, że Niemcy nadchodzą i wszystkie maszyny zaczęły pracować na coraz większych obrotach, których dźwięk, jakby startującego samolotu, mam w uszach po dziś dzień. Mama mnie odepchnęła i coś krzyknęła i ja wybiegłem z tej hali na klatkę schodową, gdzie akurat stało biurko, za którym urzędował mój ojciec, frontem do szerokich schodów.

Zobaczyłem wchodzących w tym momencie po tych schodach grupę oficerów SS, czy też gestapo. Ojciec wstał, złapał mnie, wypchnął przez drzwi po drugiej stronie klatki schodowej i tylko jeszcze zdążyłem zobaczyć jak stanął z przodu biurka w oczekiwaniu na Niemców.

Sala, do której wpadłem, była wypełniona belami szarego materiału na płaszcze, czy też mundury wojskowe. Zauważyłem chłopców nurkujących pomiędzy te materiały i sam też zacząłem wbijać się w jakąś norę, czując na głowie czyjeś buty. Gdy już byłem ukryty, przypomniałem sobie, że moja siostra została na podwórzu przy piasku. Wydobyłem się z ukrycia i pobiegłem do drugiego wyjścia z tej sali, prowadzącego do bocznej klatki schodowej. Tam już stał esesman z pejczem, którym poganiał tłum ludzi, zbiegających z wyższych pięter po schodach. Też mnie uderzył mocno po plecach i wepchnał w tłum. Na dole zobaczyłem moją płaczącą siostrę, więc ją wziąłem za rekę i nas oboje odrazu wepchnięto do stojącej już kolumny. Znaleźliśmy się na jej końcu. Całe podwórze było obstawione Ukraińcami w czarnych mundurach, którzy także stali we wszystkich wejściach do klatek schodowych. Patrząc na Ukraińca, stojącego przed klatką schodową do naszego "mieszkania", zastanawiałem się jak mu wytłumaczyć, żeby mnie wpuścił na górę, to bym mu dał rodzinny zegarek, który mieliśmy w naszych rzeczach. Wiedziałem, że oni lubią zegarki, ale nie mogłem wymyślić, jak rozwiązać tą sytuację[10].

---

[10] Kwadratowy zegarek Lilpopa - ślubny prezent moich rodziców, przetrwał, mam go do dziś.

Po pewnym czasie kolumna wyruszyła przez bramę. Ulice były puste, tylko wszędzie walały się porzucone rzeczy i pakunki. Słońce świeciło mocno. Moja siostra płakała, że nie ma siły iść. Byliśmy jedynymi dziećmi w tej kolumnie, ewentualnie ludzie wzięli nas do środka i zdaje się, że przez jakiś czas ktoś ponosił moją siostrę na rękach.

Umschlagplatz

W końcu, (mam wrażenie, jakby po wielogodzinnym marszu) dotarliśmy do bramy Umschlagplatzu, gdzie nas zatrzymano, bo kolumny idące przed nami jeszcze wchodziły. Słońce w międzyczasie się obniżyło i jakby oświetlało bramę. Brama była dwuskrzydłowa, z siatki, na szerokość conajmniej dwóch ciężarówek. Po jej prawej stronie stała drewniana wieża, na szczycie której stał bardzo gruby esesman, strzelający nad wchodzącym tłumem w powietrze i wrzeszczący w celu zastraszenia poganianych ludzi. Dookoła policjanci żydowscy również poganiali kolumnę.

Od razu za bramą, po lewej stronie stały otwarte wagony towarowe, do których wejście było po drewnianych schodach. Kolumna, w której szliśmy, została skierowana do pierwszych kilku wagonów. Znaleźliśmy się już na schodach, z których ostatecznie zeskoczyłem w bok razem z siostrą, poczym wepchnęliśmy się w tłum ludzi stojący i siedzący już na tobołkach na placu, w pewnym oddaleniu od wagonów. Po jakimś czasie, napewno po zapełnieniu tych wagonów, pociąg odjechał.

Słońce jeszcze świeciło od strony torów, ale już było nisko. Stałem zwrócony twarzą do bramy, którą obserwowałem, szukając jakichkolwiek znajomych. Chciałem koniecznie przekazać wiadomość o tym, gdzie jesteśmy, rodzicom. W pewnym momencie zauważyłem w drzwiach obok bramy (po przeciwnej stronie od wagonów) niedużego mężczyznę w kitlu lekarskim[11].

---

[11] Tym mężczyzną w kitlu, którego widok spowodował moje usilowanie dotarcia do niego, jak to się niedawno okazało, byl Dr. Marek Edelman.

Całą opisaną powyżej sytuację, związaną z Umschlagplatzem, przypomniałem sobie dopiero po raz pierwszy, opowiadając o moich przeżyciach wojennych w lutym 1988 r., w trakcie sporządzania wideo dla Toronto Jewish Congress.
Przypadkowo, ki ka miesięcy później, przeczytałem wywiad z dr. Edelmanem, opubl kowany przez Hannę Krall w jej książce p.t. "Zdążyć przed Panem Bogiem", w którym Edelman opowiada, że w okresie akcji wywożenia Zydów do Treblinki w lipcu-sierpniu 1942 roku, pod pretekstem pracy w służbie epidemologicznej, na polecenie

Postanowiłem do niego dotrzeć, ale było niemożliwe przedostać się przez tłum nas dzielący. W końcu, gdy już szarzało, dotarliśmy do jakiegoś wejścia do budynku, gdzieś znacznie dalej na lewo od tych drzwi.

Krążyliśmy po budynku, chyba po 2 piętrach, gdzie wszędzie było pełno ludzi, usiłując zbliżyć się do pomieszczeń, do których prowadziły tamte drzwi. Było już prawie zupełnie ciemno, gdy znaleźliśmy się w jednej z sal wyłożonych kaflami. Usiedliśmy tam na murku. Na podłodze stały kałuże wody. Wydawało mi się, że za sąsiednią ścianą, powinno być to miejsce, skąd wyszedł człowiek w kitlu. Były tam drzwi, ale zamknięte. Po pewnym czasie zauważyłem przechodzącego przez salę znajomego policjanta, adwokata Szymona Rundsteina. Złapałem go za ubranie i prosiłem, żeby przekazał moim rodzicom, gdzie jesteśmy. On mi nic nie odpowiedział, odepchnął mnie i od razu odszedł[12]. W tej sali nie było poza nami żadnych dzieci. Ja miałem na sobie, zabraną jeszcze z domu na Lesznie, granatową marynarkę i krótkie spodnie. Moja siostra była w letniej sukience w kwiatki. Po pewnym czasie ona zaczęła płakać, że jej zimno, więc założyłem na nią tę marynarkę. Było już zupełnie ciemno i napewno późno wieczór, gdy ktoś wszedł i szukał pośpiesznie chłopca w marynarce z małą dziewczynką w sukience. W końcu ludzie wskazali na nas, ten ktoś sprawdził, że to my jesteśmy tymi poszukiwanymi i wyprowadzono nas przez drzwi do korytarzyka, w którym stało dwóch pielęgniarzy i nosze z leżącą na nich grubą kobietą. Jeden z nich, jak się okazało kierowca karetki pogotowia, wziął mnie do drzwi na końcu tego korytarzyka i otworzył je trochę, żebym zaobserwował otoczenie i sytuację. Na pustej ulicy, oświetlonej reflektorami, na jezdni, w oddaleniu może 10 metrów stała karetka. Po prawej stronie była wieża, na której, gdy wchodziliśmy, stał gruby esesman, teraz pusta. Brama prowadząca na plac była zamknięta.

Zostałem poinstruowany, że we właściwym momencie, gdy pielęgniarze wezmą kobietę na noszach i zaczną iść do karetki, mam

---

podziemnej organizacji, stale dyżurował na Umschlagplatzu, obserwując ludzi sprowadzanych do wywózki i wyciagając z tłumu ważne osobistości, związane z podziemiem.

[12]Przeżył, wyjechał do Izraela w 1945r. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że przyszedł z zadaniem odszukania nas.

trzymać siostrę i iść z nią, schylony pod noszami, żeby nas nie było widać.

Czekaliśmy jakiś czas i na sygnał przeszliśmy, a raczej przebiegliśmy pod niesionymi przez pielęgniarzy noszami do karetki, gdzie kazano nam położyć się pod noszami i nie wyglądać.

Karetka natychmiast ruszyła i szybko jechała, na jej podłodze porządnie nami trzęsło. W końcu podniosłem trochę głowę i przez okienko rozpoznałem, że jedziemy Nalewkami, które były puste i wymarłe, jakich nigdy w takim stanie nie widziałem. To już było bardzo późno, po godzinie policyjnej. W końcu wjechaliśmy do bramy domu, który okazał się być siedzibą Pogotowia Ratunkowego przy ul. Leszno 58. W pogotowiu oczekiwała już nas nasza ciocia Nina. Zobaczyłem także znajomego nam doktora Józefa Orzecha, który był kierownikiem tego pogotowia.

Ciocia Nina zabrała nas do naszego mieszkania na Lesznie, które było o kilka domów dalej. Przebiegliśmy tam szybko, gdy sprawdzono, że nie ma patroli na ulicy. W mieszkaniu zastaliśmy czekających na nas rodziców, babcię, a także wujka Ignasia, męża cioci Niny. Jak się okazało, kilka dni wcześniej t.zw. małe getto zostało zlikwidowane i oni musieli przenieść się do nas.

Nakarmiono nas i rodzice poinformowali mnie, że następnego dnia będziemy wyprowadzeni na aryjską stronę.

Wyjście z Getta

14 sierpnia rano, ubrani w najporządniejsze rzeczy, poszliśmy piechotą razem z ciocią Niną Lesznem w kierunku ulicy Żelaznej. Było bardzo słonecznie, ulica była prawie pusta. Dotarliśmy do zburzonego domu po południowej stronie Leszna (Nr. 77) przy zbiegu z Żelazną, w pobliżu muru. Weszliśmy w ruinę, gdzie zdjąłem i oddałem cioci opaskę, którą dotąd nosiłem na rękawie marynarki. Ciocia poleciła mi obserwować stojącego przy bramie granatowego policjanta. Stojący obok, przekupiony niemiecki wartownik miał zabawić tego policjanta rozmową, w trakcie której miał go odciągnąć i odwrócić tyłem od przejścia dla pieszych. Przy bramie kręciło się kilku policjantów żydowskich, którzy też byli opłaceni. Po pewnym czasie granatowy

policjant odwrócił się i z siostrą za rękę poszedłem spokojnym krokiem, przechodząc przez bramę na drugą stronę Leszna. Idąc dalej Lesznem, złączyliśmy się z idącą ulicą panną Bronią, która nas oczekiwała. Prawie w tejże chwili podeszło do nas dwóch mężczyzn, którzy zaczęli rozmawiać o czymś z panną Bronią. W rezultacie weszliśmy do bramy pobliskiego domu i na klatkę schodową po prawej stronie. Panna Bronia wprowadziła nas na drugie piętro, kazała po cichu czekać, aż wróci po nas, a sama zeszła piętro niżej do tych mężczyzn.

Po wojnie dowiedzieliśmy się, że ci szmalcownicy targowali się z nią, bo uważali, że cała suma 1500 złotych, którą ona miała przy sobie, była nie wystarczająca i chcieli odprowadzić nas na gestapo. W końcu oddała im jeszcze pierścionek i nas puścili.

Wsiedliśmy po tym do tramwaju, którym dojechaliśmy do małego mieszkanka w śródmieściu, w którym mieszkała pani Zofia, była służąca mojej cioci Wandy[13].

Najbardziej z tego mieszkania pamiętam smak chleba, którego zjadłem cały bochenek i dziwiłem się, że moja siostra wogóle nie chciała jeść, tylko zasnęła.

Pierwsza kryjówka

Następnego dnia przyszła po mnie ciocia Wanda i poszliśmy piechotą ze śródmieścia na Saską Kępę, gdzie, jak się okazało, ona mieszkała wraz z synami, w małej willi na parterze. Szliśmy Alejami, koło Muzeum Narodowego, Mostem Poniatowskiego, z którego zeszliśmy na Wał Miedzeszyński, po drugiej stronie Wisły, już krótko przed zachodem słońca. Tych wszystkich okolic, szczególnie Wisły, kąpielisk i plaż, nie widziałem już od trzech lat, więc byłem bardzo tymi widokami poruszony. Przed dojściem do domu, ciocia poinstruowała mnie, że nikt z sąsiadów nie może wiedzieć, że tam jesteśmy (Wisię miała przyprowadzić panna Bronia oddzielnie), więc musimy być absolutnie cicho i nie dochodzić do okien. Gdy przyszliśmy, okazało się, że oprócz Witka i Jurka, był tam (już od kilku tygodni) mój kuzyn

[13] Wanda Grosmanowa - Jedlicka (1900 - 1967), literat, tłumacz, redaktor w wydawnictwie ”Czytelnik”.

Maryś, więc w pięcioro, w jednym pokoju, było nam całkiem wesoło i wzajemne uciszanie, było konieczne ciągle. W międzyczasie, jak obecnie wiemy, odbywało się desperackie poszukiwanie kryjówek dla mnie i siostry. Maryś faktycznie oczekiwał na swoich rodziców, którzy przygotowywali swoje wyjście z Getta.

Rembertów

Znalezienie kryjówek było w tym okresie szczególnie utrudnione, gdyż wiadomo w Warszawie było, że bieżąca akcja w Getcie miała na celu exterminację wszystkich dzieci żydowskich. Sporo dzieci uciekało wtedy różnymi sposobami z Getta i kręciło się, żebrząc i szukając schronienia na warszawskich ulicach.

Po około 2 tygodniach coś się dla nas znalazło w Rembertowie pod Warszawą. Ja pojechałem z moim starszym, wówczas 13-letnim kuzynem Witkiem, tym razem tramwajem do śródmieścia, do stacji kolei elektrycznej. Siostrę, która tą podróż robiła oddzielnie, zobaczyłem wchodzącą, znów z panną Bronią, do wagonu na drugim końcu tego samego pociągu.

W Rembertowie zostałem przyjęty przez rodzinę, składającą się z matki i dwóch dorosłych synów. Mieszkali oni w dużej, niedawno zbudowanej willi, prawie nieumeblowanej, nawet z kilkoma niezamieszkałymi pokojami. Mój pokój, w którym było jedynie łóżko, był na piętrze od frontu. Cała ulica była zabudowana stosunkowo nowymi willami, przypuszczalnie należącymi do oficerów, zatrudnionych w znajdującym się w sąsiedztwie poligonie artyleryjskim Wojska Polskiego. W wielu domach były tylko matki z dziećmi, których ojcowie prawdopodobnie zginęli w walkach, albo dostali się do niewoli.

Moja siostra Wisia znalazła się w sąsiednim domu, gdzie mieszkała w ciągu lata jedna kobieta z kilkunastoletnią córką. Ja się z Wisią miałem jakoby nie znać i dopiero przypadkowo zapoznać jako z sąsiedzkim dzieckiem przez płot. Czteroletnia wówczas Wisia oczywiście takiej konspiracji nie mogła zrozumieć, więc przez pierwsze kilka dni miałem unikać wychodzenia do ogrodu.

Po krótkim czasie zapoznałem się i zacząłem bawić z kilkoma rówieśnikami, chłopcami z sąsiedztwa. Oni bardzo chętnie zaczęli

przychodzić do mnie, bo moi gospodarze pozwolili mi i umożliwili budowanie z desek budki - domku w końcu ich ogrodu. Chodziłem z tymi chłopcami razem po okolicy, nawet wślizgiwaliśmy się na teren strzeżonego i zajmowanego przez wojsko niemieckie poligonu, wdrapywaliśmy się na drzewa i podkradaliśmy jabłka.

Wczesną jesienią sąsiadka z córką i moją siostrą zamknęła letnisko i przeprowadziła się do mieszkania w Warszawie, tak więc straciliśmy kontakt.

Synowie mojej gospodyni zajmowali się różnymi robotami elektrycznymi, m. in. produkowali i reperowali kuchenki elektryczne. Ja im w tym trochę pomagałem, nawijając spirale do grzejników, składając różne części i montując kuchenki. Zbieraliśmy i przygotowywaliśmy do przechowania na zimę różne drobne plony z stosunkowo rozległego ogródka, jak np. fasolę, pomidory i kapustę.

Ja nadal bawiłem się z chłopcami i nawet krótko przed świętami Bożego Narodzenia byłem zaproszony do jednego zdecydowanie zamożnego domu tuż przy poligonie na urodziny, czy jakąś podobną uroczystość. Pamiętam, że matkę tego chłopca nazywano “pani pułkownikowa”.

25 grudnia wcześnie rano poszedłem z gospodarzami do kościoła na pasterkę, przeniesioną z rozpoczęcia o północy ze względu na obowiązującą godzinę policyjną. Później w ciągu dnia, bawiłem się z trzema chłopcami i pomimo zimna, wdrapaliśmy się na “nasze” drzewo. Siedząc tam jeden z chłopców powiedział, że oni wiedzą, że ja przyjechałem do Rembertowa razem z “tą dziewczynką” Wisią jednym pociągiem i tylko przyszliśmy różnymi ulicami, że napewno jesteśmy rodzeństwem i musimy być Żydami. Coś zaprzeczałem, było mi gorąco, ale jakoś nie spadłem z drzewa. Po powrocie, powiedziałem o tych wypowiedziach gospodarzom, po czym szybko spakowałem się i tego samego dnia przyjechał po mnie Witek i zabrał mnie do Warszawy. Odwiózł mnie na jedną noc do tej kobiety, u której była siostra. Wisia bardzo się ucieszyła, widząc mnie. Pożaliła mi się też, że córka gospodyni wiele razy ją strasznie biła, aż leciała z niej krew.

Następnego dnia Witek znów przyszedł po mnie i pojechaliśmy na Żolibórz, jak się okazało, do cioci Niny, która pod przybranym nazwiskiem Janiny Wrześniewskiej wraz z mężem i synem mieszkała wtedy na parterze małej willi, w pobliżu placu Wilsona.

Spędziłem tam resztę świąt, było nadzwyczajnie przytulnie i ciepło. Ciocia, w trakcie mojej kąpieli, powiedziała mi płacząc, że rodzice moi są nadal w getcie i żyją, natomiast nasza babcia nie żyje, że została wywieziona do Treblinki.

Wujek Ignaś trenował mnie w używaniu mojego nowego nazwiska „Zbigniew Jabłoński", a także uświadomił mnie w sprawie konieczności nie rozbierania się w obecności innych i pilnowania prywatności przy załatwianiu potrzeb fizjologicznych. Do tej pory nie byłem zorientowany o istniejącym niebezpieczeństwie rozpoznania.

Rodzina Szaniawskich

Do domu pani Stasi Szaniawskiej[14], na t.zw. Sadybie przy ul. Zakręt 1, zostałem przyprowadzony po świętach Bożego Narodzenia, w pierwszych dniach stycznia 1943 roku. Przyprowadził mnie tam mój kuzyn Witek.

Przeprawę na Sadybę rozpoczęliśmy od "zacierania śladów", przechodząc przez teren, a także nawę i przedsionki kościoła św. Stanisława Kostki. Następnie, z placu Wilsona, pojechaliśmy tramwajem, (nie pamiętam, czy z przesiadką) na plac Trzech Krzyży, skąd kolejnym tramwajem, przez Książęcą i Czerniakowską dotarliśmy do Sadyby. Ostatni odcinek od Czerniakowskiej do celu przeszliśmy piechotą.

Willa, w której mieszkali państwo Szaniawscy, była ostatnim domem na ulicy Zakręt. Za płotem ogradzającym ogródek, była już tylko trawa i ścieżki, prowadzące do jeziorka Czerniakowskiego. Część dostępu do jeziorka (po lewej stronie) była zagrodzona i znajdowało się tam gospodarstwo rolne.

---

[14] Stanisława Szaniawska - Nowicka (1903 - 1980) w 1980r. została odznaczona przez Yad Vashem medalem "Sprawiedliwy Wśród Narodów ·Swiata".

Willa była dwu-piętrowa (nadal stoi, z dobudowanym trzecim poziomem), Szaniawscy zajmowali piętro, a na parterze mieszkali państwo Krauze z siedmioletnią wówczas córką Krysią.

Oprócz pani Stasi, poznałem innych mieszkańców domu: jej siedemnastoletniego syna Klemensa, 4-letnią dziewczynkę, Lusię Petecką oraz 14-letnią pomocnicę - Zosię, która pochodziła z wielodzietnej, bardzo biednej rodziny, mieszkającej w starej i rozpadającej się wiejskiej chałupie, stojącej w polu po drugiej stronie Czerniakowskiej.

Lusia zwracała się do pani Szaniawskiej per "ciociu", ale z tego, jak mnie p. Stasia ją przedstawiła, zrozumiałem od razu, że była w tym domu dopiero od kilku miesięcy, ściślej od lata, a że przedtem musiała być w Getcie. Mój pobyt z niepojętych dla mnie powodów, zaczął się od kąpieli w wannie, w trakcie której pani Szaniawska, pomagając mi w myciu, poinformowała mnie, że Lusia była "niegrzeczna" i za karę nie wolno jej wychodzić poza ogródek, a w przypadku gdyby w okolicy kręcili się Niemcy, albo policjanci, ma natychmiast wracać do domu.

Lusia, jak pamiętam, miała dość ciemne włosy i raczej semicką urodę. Ja przyszedłem do pani Szaniawskiej z wcześniej już spreparowaną, oryginalną metryką, wystawioną na nazwisko "Zbigniew Jabłoński". Prawdziwy posiadacz jej był tylko o 2 dni starszy ode mnie, więc mogłem łatwo się nauczyć jego danych. Ostatecznie, po dwóch latach już nie pamiętałem swojego właściwego nazwiska. Tą metrykę dostałem prawdopodobnie poprzez organizację "ŻEGOTA". Oczywiście wtedy takich szczegółów nie znałem, ale jeszcze długo usiłowałem sobie wyobrazić oryginalnego właściciela metryki, którego losy nie były mi wiadome.

Po zapoznaniu się z domem i zorientowaniu się w zwyczajach, miałem dużą swobodę poruszania się i wkrótce zawarłem znajomość z kilkoma rówieśnikami z okolicznych domów. Razem z nimi chodziłem, szczególnie latem, po całej okolicy, aż do Wilanowa włącznie. Kilka razy nawet zostawałem na noc u jednego z kolegów z sąsiedniej ulicy.

Klemens

Klemens, jak go pamiętam z tamtych czasów, był chudy, drobnej budowy, ale wysportowany, silny, z enegicznymi ruchami i mocnym uściskiem dłoni (tenisisty), stale w okularach, które często przecierał, ubrany zawsze czysto i schludnie.

Gdy mówił, to zawsze przekonywująco (gdy tłumaczył jakieś kwestie) i akcentując słowa.

Klemens w ciągu pierwszych moich dni w ich domu przeegzaminował mnie z moich wiadomości i opracował pewien rodzaj planu nauki, według którego uczył mnie przez półtora roku, podstawowych przedmiotów z zakresu szkoły powszechnej, w której do tej pory doszedłem tylko do klasy drugiej w 1939 roku.

Systematycznie zadawał mi lekcje, które odrabiałem przy biurku jego ojca. Gabinet ojca[15] był w pierwszym okresie mojego zamieszkania u Szaniawskich moją sypialnią (później sypiałem w służbówce obok kuchni). W gabinecie spałem na rozkładanym łóżku, ustawianym wzdłuż biblioteki, w której conajmniej dwie dolne półki były zastawione jednakowo oprawionymi, przeszło 60 tomami powieści Kraszewskiego. Przez 2 lata przeczytałem prawie wszystkie z nich (z wyjątkiem kilku “nieodpowiednich” - zakazanych) .

Moją ulubioną literaturą, do której doszedłem za wskazaniem Klemensa, były *Jarmark Rymów* Tuwima i *Słówka* Boya -Żeleńskiego. Sporo wierszy z tych dwóch tomów już w tamtym okresie nauczyłem się na pamięć, oczywiście wielu tekstów nie rozumiejąc w pełni.

W rogu gabinetu, przy wieloskrzydłowych, oszklonych drzwiach, łączących go z jadalnią, stał kwadratowy, zielony piec kaflowy, a obok niego stolik z patefonem i półka z dużą kolekcją płyt, które często przesłuchiwałem (aż do momentu, gdy jeden album z płytami położyłem na akurat gorącym piecu i płyty uległy zniszczeniu). Na piecu zwykle w owym czasie gromadziło się produkty i przedmioty do paczki dla pana Szaniawskiego, który jeszcze prawdopodobnie przebywał w więzieniu na Pawiaku.

[15]Władysław Junosza Szaniawski, literat, wydawca “Muchy”, rozstrzelany przez Niemców 12 lutego 1943r. w lasach chojnowskich. Jestem przekonany, że paczki żywnościowe dla niego, do więzienia na Pawiaku były przyjmowane długo po tej dacie.

Klemens, w okresie mojego przebywania w ich domu, studiował na tajnych kompletach, których zajęcia odbywały się periodycznie w jednym, jakby wydzielonym z mieszkania, zwykle zamkniętym i nieogrzewanym pokoju. Do tego pokoju normalnie się nie wchodziło.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że te zajęcia to były kursy uniwersyteckie. Jako jednego, stosunkowo częstego, starszego uczestnika tych spotkań, pamiętam profesora Kotarbińskiego, który przychodził czasem również z żoną.

Wśród innych stałych uczestników kursów byli dwaj bracia, synowie właściciela wytwórni wódek. Mieszkali w sąsiedztwie, w eleganckiej, nowoczesnej willi, w której szczególnie atrakcyjna była duża piwnica, zastawiona półkami, wypełnionymi butelkami różnych wódek. Bywałem tam szereg razy z Klemensem. Przyjęcia z alkoholem, które się od czasu do czasu odbywały w domu pani Szaniawskiej, były zwykle zaopatrywane w alkohole z tej piwnicy.

Wyżywienie

W porównaniu z gettem, a nawet podczas mego kilkumiesięcznego ukrywania się, po wyjściu z Getta, w Rembertowie, jedzenie u pani Szaniawskiej było bogate i nawet wykwintne, chociaż nie wystarczające do zaspokojenia w pełni głodu.

Oryginalną lekturą, oprócz wymienionej wyżej literatury pięknej, była książka kucharska *Kuchnia polska*, którą często czytałem i to z udziałem pani Stasi. Czytaliśmy razem różne przepisy i pani Stasia wspominała, które z nich, jak i na jaką okazję przed wojną robiła.

Po takich studiach bardzo chciało się jeść i trzeba było zadowolić się chlebem z marmoladą z buraków.

Nie przypominam sobie, co poza tym jadaliśmy na codzień, ale w niedziele obiady były w miarę uroczyste, tak więc pani Szaniawska starała się, żeby było mięso, zwykle gotowane w rosole i podawane na drugie danie z kartoflami i jakąś jarzyną. Ja, pomimo głodu, bardzo tego mięsa rosołowego nie lubiłem, a zwłaszcza przypadającego z mięsem tłuszczu, więc topiłem je w sosie chrzanowym i połykałem, jak najgorsze lekarstwo.

Na niedzielnych obiadach często bywali różni goście, a najczęściej matka Lusi, pani Anna (wydaje mi się, że nie wiedziałem wtedy, że to była jej matka, bo Lusia zwracała się do niej tak, jak do pani Stasi, t.j. "ciociu"), która zawsze przychodziła z "wujkiem" Jurkiem, po wojnie Lusi ojczymem.

Dość często bywał także Jerzy Szaniawski, dramaturg, brat ojca Klemensa, z przyjaciółką (która, jak się po wojnie okazało, była też Żydówką), oraz dwie pasierbice p. Stasi, które były prawdopodobnie w jej wieku (nie mogłem wówczas zrozumieć, dlaczego mówiło się o nich, jako o siostrach Klemensa).

W mieszkaniu pani Stasi od czasu do czasu nocowali lub zamieszkiwali okresowo różni nieoficjalni goście. Do takich gości należał m.in. Stefan Kozicki, po wojnie dziennikarz, który zwykle sypiał w zamykanym bocznym pokoju. Wiosną 1944 roku pani Szaniawska przyjęła do swego domu mojego kuzyna Witka[16], który chociaż miał wtedy zaledwie 15 lat, ze względu na bardzo wysoki wzrost, a także wygląd, był w coraz większym niebezpieczeństwie aresztowania, lub przypadkowego schwytania w łapance.

Przygotowania do Świąt Wielkanocnych, lub Bożego Narodzenia były za każdym razem operacją na dużą skalę. Najwięcej pracy, jak mi się wydawało, było przy robieniu i pieczeniu ciast. Zajmowało to conajmniej tydzień i rezultatem było ze 30 tradycyjnych makowców i odpowiednia ilość innych ciast. W tych pracach kuchennych brałem zawsze czynny udział, mieląc mak, kręcąc ciasto piernikowe (koniecznie w jednym kierunku), itp.

Najbardziej pamiętna dla mnie była kolacja wigilijna w 1943 roku, w której brałem udział po raz pierwszy w życiu. W rogu jadalni stała duża, bogato udekorowana choinka, pod którą były prezenty dla uczestników, których oprócz pani Stasi, Klemensa, mnie i Lusi, było jeszcze kilkoro, raczej młodocianych dorosłych - przyjaciół Klemensa.

Odbyła się tradycyjna kolacja wigilijna, z odpowiednimi potrawami i daniami i śpiewaniem kolęd. Z jakichś powodów biesiada przedłużyła

---

[16]Witold Jedlicki (1929 - 1995), filozof, znany m.in. z eseju *Chamy i Żydy*, publikowanego w 1957 r. w paryskiej “Kulturze”.

się do nocy i ja zostałem z młodymi i dotrzymywałem im kompanii, wypijając w sumie 7 dużych kieliszków wódki (pierwszy kieliszek dostałem przy stole jeszcze w obecności pani Stasi, która później odeszła spać).

Od tej ilości alkoholu byłem kompletnie pijany, ale przytomności i pamięci sytuacji nie straciłem. Straciłem natomiast poczucie bólu, bo pamiętam, że jedna uczestniczka, też pijana, biła mnie butelką, a ja nie czułem bólu. Następnego dnia miałem wszędzie siniaki (i strasznego "kaca"). Od tamtej nocy zawsze unikałem alkoholu i już nigdy w życiu się nie upiłem.

Pamiętam także, że pani Stasia następnego dnia zrobiła dużą awanturę Klemensowi i innym o moje uczestnictwo w tej pijatyce.

Jednym niezwykłym dla mnie produktem do ewentualnego jedzenia, była wisząca na strychu, napewno od początku wojny, wielka suszona ryba, a raczej jej płat, długości prawie metra, która była trzymana do zjedzenia "na czarną godzinę". Nie wyobrażałem sobie jak to można jeść, bo było pokryte solą i suche jak deska, ale najbardziej mnie frapowało pytanie, jak rozpoznać, że już jest "czarna godzina". I tak ta ryba została na strychu i prawdopodobnie przetrwała wojnę, aż ktoś ją tam znalazł.

Przepowiednie

Co jakiś czas, gdy odczuwało się potrzebę jakiegoś pokrzepienia duchowego, zbieraliśmy się przy stole w jadalni i odbywało się odczytywanie półgłosem otrzymanej skądś podziemnej gazetki albo ulotki, a najczęściej, schowanej zwykle pod klatką dla kanarka na szczycie kredensu, przepowiedni Wernyhory.

Nauczyłem się jej wtedy, widać, solidnie na pamięć, bo jeszcze teraz mogę odtworzyć niektóre wyjątki z pamięci:

Witebsk, Odessa, Kijów, Czerkasy, to Europy bastiony,

A barbarzyńca aż po wieczne czasy do Azji ujdzie strwożony.

i inny: *Dwa lat dziesiątki przeszły do tej pory,*

Nim się spełnily pieśni Wernyhory...

Barbarzyńcami dla mnie byli wtedy oczywiście tylko Niemcy i gdy oglądałem mapy, na których znajdowałem wymienione miasta, nie mogłem sobie wyobrazić, jak oni mają uchodzić dalej na wschód zamiast wrócic do Niemiec. Później się okazało, że to chodziło o innych barbarzyńców - "bolszewików", którzy zbliżali się z frontem wschodnim.

Nie pamiętam na jakiej podstawie, ale wyobrażałem sobie, że ci bolszewicy biegają z nożami, albo kindżałami w zębach.

Getto płonie !

Gdy wybuchło powstanie w Getcie warszawskim, pożary i łuny widać było stale z klatki schodowej w domu u pani Szaniawskiej.

Stałem tam wieczorami i patrzałem, zdając sobie sprawę, że tam się muszą palić moi rodzice. Gdy pożary wygasły, uznałem, że jestem sierotą i nawet nie wiedziałem, gdzie mogła być moja siostra, którą ostatni raz zobaczyłem w grudniu 1942 roku.

Świadomość śmierci moich rodziców była we mnie na tyle mocna, że gdy już po wyzwoleniu, prawie dwa lata później, moja mama odnalazła mnie w Przybyszewie i zatrzymując mnie na drodze, przedstawiła się kim jest, nie byłem w stanie zwracać się do niej jak do mamy.

Szklenie okien

Musiało to być późną wiosną, bo latałem na bosaka i w krótkich spodniach. W wielu oknach były popękane szyby, częściowo jeszcze z okresu działań wojennych w 1939 r., ale ostatecznie rozbite w wyniku solidnego rosyjskiego bombardowania Warszawy 12 maja 1943 roku. Odbywała się ich reperacja na dużą skalę. W związku z tym, w różnych miejscach mieszkania stały wyjęte okna, a także leżały kawałki rozbitych szyb. W pewnym momencie, biegnąc po coś do kuchni, nie zauważyłem stosu rozbitych szyb i dosłownie nadziałem się górą stopy na sterczący szpikulec szyby, tak mocno, aż go złamałem. Musiałem wrzeszczeć z bólu, krew dosłownie tryskała, gdy pani Stasia razem ze szklarzem położyli mnie na stole w jadalni. Pani Stasia

usiłowała zatamować mi krew i jakoś to się jej udało. Normalnie należało by zawołać pogotowie, ale w moim przypadku było to zdecydowanie niebezpieczne. W końcu pani Stasia zadzwoniła do jednego znajomego starszego lekarza, którego uznała za godnego zaufania w tej sytuacji. On mieszkał gdzieś po drugiej stronie jeziorka Czerniakowskiego. Pani Stasia opowiedziała mu jakąś historyjkę o mnie, uzasadniając, dlaczego nie wezwała pogotowia. On obejrzał ranę, stwierdził, że trzeba by ją zaszyć, ale nie miał odpowiednich materiałów przy sobie. Ponieważ zbyt długo by zajęło je sprowadzić opatrzył ranę i kazał leżeć z nogą do góry, do wygojenia się. Byłem raczej zadowolony z takiej decyzji, bo bardzo bałem się procesu zaszywania. W rezultacie została mi na całe życie brzydka i uwierająca w bucie przez wiele lat blizna.

Kanarek i balia

Jak zwykle w każdym domu, ruchliwy chłopiec jakim niewątpliwie byłem, co jakiś czas robi różne szkody, z chęci próbowania i poznawania, z niewiedzy, lub z powodu nieuwagi.

Ale jedną szkodę w czasie pobytu u pani Szaniawskiej zrobiłem na skalę niepowtarzalną.

Było to w czasie prania w kuchni. Koło wejścia do mojego pokoju (czyli tzw. służbówki) akurat stała duża, drewniana balia z wodą i mydlinami. Na podłodze leżała góra bielizny do prania. Nie pamiętam, czym powodowany, postanowiłem wziąść coś z górnej szafki dwuczęściowego kredensu, który stał przy ścianie obok balii. W tym celu wszedłem na kontuar dolnej części kredensu i otworzyłem górne drzwiczki, jednocześnie łapiąc się ich dla zachowania równowagi. W rezultacie cała górna połowa kredensu zaczęła się przewracać, ja spadłem na bieliznę między kredensem i balią, a górny kredens z otwartymi drzwiami spadł na balię. Cała jego, bardzo bogata zawartość w postaci serwisów, szklanek i innych nakryć stołowych, wyleciała dookoła na podlogę i do balii, w większości ulegając wytłuczeniu. Na dodatek, stojąca na górze kredensu klatka z kanarkiem (a może chciałem go nakarmić), która zwykle miała swoje miejsce w jadalni na

szafie, wpadła do wody w balii i do tego do góry dnem, tak, że kanarek został uwięziony w wąskiej przestrzeni ponad wodą.

Pani Szaniawska tak się zdenerwowała szkodami i tym wszystkim, że nawet mnie nie uderzyła, nie mogła nawet krzyknąć. W końcu, za karę zamknęła mnie w t.zw. ciemnym pokoju i kazała mi napisać list do oficjalnie opiekującej się mną ciotki Wandy, ze szczegółowym opisem, co zrobiłem i z wyliczeniem wszystkich strat, które moja rodzina ma pokryć.

Pisałem ten list cały dzień, a nawet może dwa dni, płacząc. To napewno była dla mnie większa kara, niż gdybym był boleśnie zbity. Po napisaniu tego listu, nie pamiętam, żeby była jeszcze na ten temat jakaś większa dyskusja. Po jakimś czasie pani Stasia otrzymała wyliczoną sumę. Po wojnie dowiedziałem się, że moja mama, która te pieniądze faktycznie musiała zorganizować, miała duże trudności w ich zdobyciu.

Komunia

Wiosną 1944 r. pani Stasia doszła do wniosku, że zgodnie z wiekiem, jak inne dzieci, powinienem przystąpić do pierwszej komunii. Ponieważ nie chodziłem do szkoły, zostałem w tym celu zapisany na komplet przygotowawczy, prowadzony przez jednego z księży, a raczej proboszcza kościoła Bernardynów przy ul. Czerniakowskiej. Na ten kurs chodziła także pomocnica pani Szaniawskiej, Zosia, która poprzedniego roku nie zdała egzaminu i musiała powtarzać przygotowania. Kurs skończyłem na tyle dobrze, że prowadzący go ksiądz zaproponował mnie służenie do mszy, ale pani Szaniawska nie uznała tego za właściwe. Odbyła się uroczysta komunia, w której uczestniczyłem razem z dużą grupą dzieci z okolicznych szkół. W trakcie uroczystości byłem w grupie chłopców służących do mszy przy ołtarzu. Po wojnie dowiedziałem się od mojej mamy, że była wtedy w kościele, żeby mnie zobaczyć, po raz pierwszy od prawie dwóch lat.

Przygotowania do powstania

Oprócz zebrań związanych z nauką, Klemens i mała grupka młodych mężczyzn, zbierali się w tymże samym zamkniętym pokoju na

szkolenie wojskowe. (Jak się wiele lat po wojnie okazało, Klemens uważał, że konspiracja wtedy była na tyle kompletna, że nawet pani Stasia, a tymbardziej ja, nie mogliśmy wiedzieć, co tam się odbywało). Pamiętam, że chociaż migawkowo, ale widziałem, odbywające się szkolenie, w czasie którego uczestnicy rozkładali i składali pistolet, lub pistolety, a także większy automat.

Wczesnym latem 1944 r. do ogródka u pani Szaniawskiej przywieziono ciężarówką dużą ilość desek i innych materiałów budowlanych, które złożono na grządkach, gdzie zwykle rosły warzywa i pomidory.

Początkowo na terenie ogródka odbywało się cięcie desek i przygotowanie elementów do planowanej konstrukcji budki do sprzedaży lodów na terenie plaży koło Jeziorka Czerniakowskiego. Znajomy Klemensa, stolarz, który nad tym pracował, przy okazji zrobił mi z odpowiednich listew drewniane szczudła i nauczył mnie na nich chodzić.

Wkrótce rozpoczęła się budowa budki, która została ustawiona na małym wzniesieniu, na wprost drewnianego mostu, łączącego obie strony jeziorka.

Już po zbudowaniu i zamknięciu szkieletu budki, wewnątrz został wykopany duży dół, którego ściany i dno zostały następnie wybetonowane grubą warstwą betonu. Jedna, albo raczej dwie ściany zostały wyciągnięte ponad powierzchnię ziemi, może około jednego metra i obudowane deskami. Powstałą piwnicę zamknięto drewnianą podłogą z klapą do zejścia do środka. Oficjalne przeznaczenie tak skonstruowanej piwnicy było na przechowywanie bloków lodu, takich jakie wycinano w zimie z powierzchni jeziorka[17].

Faktycznie ta budka i cała konstrukcja była przygotowywana jako bunkier, w którym miano przechowywać uzbrojenie, a który w czasie planowanej walki przeciwko Niemcom miał służyć jako przyczółek do obrony mostu, którym Niemcy mogliby się przeprawiać na tę stronę

[17]Operację wydobywania bloków lodu zimą z jeziorka prowadziło na dużą skalę sąsiadujące gospodarstwo rolne.

jeziorka. Wydaje mi się, że niedaleko po drugiej jego stronie była rozlokowana niemiecka jednostka wojskowa.

Górne części zewnętrznych ścianek budki stanowiły podnoszone do góry klapy na zawiasach.

Otwarcia lodziarni, która ponoć nawet trochę funkcjonowała w lipcu 1944 r. nie widziałem, ponieważ wyjechaliśmy (pani Stasia, Lusia i ja), tak jak poprzedniego lata, na wieś do miejscowości Przybyszew, koło Nowego Miasta nad Pilicą.

Przybyszewskie ogórki

Nasza pierwsza podróż do Przybyszewa w lipcu 1943 roku zrobiła na mnie duże wrażenie, przedewszystkim dlatego, że pojechaliśmy tam samochodem ciężarowym. którym jechałem po raz pierwszy w życiu.

Przygotowania do wyjazdu trwały jakiś czas. Z domu razem z bagażami, pojechaliśmy dorożką, aż na Plac Mirowski. Wysiedliśmy na krótkiej ulicy po południowej stronie Hali, gdzie koło jakiegoś składu, najprawdopodobniej z warzywami, stała już ciężarówka, załadowana meblami (w tej chwili zdaję sobie sprawę, że to musiały być meble z Getta). Pani Stasia, z Lusią na kolanach, usiadła obok kierowcy, a ja na górze wśród mebli. Jeszcze kilkoro dorosłych osób było na górze.

Podróż trwała dosyć długo, kilka razy byliśmy zatrzymywani przez niemiecką drogową kontrolę. Przejechaliśmy przez Grójec i Mogielnicę, a koło Nowego Miasta przeprawiliśmy się promem przez Pilicę.

Zamieszkaliśmy w Przybyszewie w miejscowej szkole, którą prowadzili znajomi pani Stasi, państwo Kołodziejczykowie. Budynek szkolny stał przy głównej ulicy, z tyłu za kościołem. Były w nim po prawej stronie (od frontu) dwie sale szkolne, a po lewej dwuizbowe mieszkanie pp. Kołodziejczyków. Pan Kołodziejczyk był kierownikiem tej szkoły, a pani Kasia nauczycielką. Mieli dwóch synów, starszego w moim wieku i drugiego, trochę młodszego. Podwórze, ściślej plac, będący jednocześnie boiskiem szkolnym, był nieogrodzony, a jedynie po jego drugiej stronie był mały, ogrodzony ogródek warzywny

gospodarzy, a także nieduża szopa, ze składem narzędzi, kurnikiem i chlewem.

Zajmowaliśmy tam klasę od strony podwórza, a stoły i ławki z niej zostały złożone we frontowej klasie.

Powrotu z Przybyszewa po wakacjach, ani szczegółów podobnej podróży tam w lecie 1944 r. nie pamiętam. Za drugim razem już byłem zaznajomiony z życiem wiejskim, miałem nawet swojego królika, którego trzymałem w szopie. Razem z synami Kołodziejczyków chodziłem kąpać się w Pilicy, uczyłem się jeździć na rowerze (pod ramą) i brałem udział w ich i okolicznych dzieci zabawach. Próbowaliśmy łowić ryby i raki, kradliśmy jabłka z sąsiedniego przykościelnego ogrodu itp.

Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, stało się jasne, że nie mamy możliwości powrotu do Warszawy. Po pewnym czasie było widać łuny palącej się Warszawy. Największą, widoczną tragedią dla miejscowej ludności był zamknięty rynek na ich ponoć słynne ogórki przybyszewskie. Na wszystkich okolicznych polach dojrzewały ogórki, których wogóle nie zbierano i nawet krowy już nie chciały jeść. Inne zbiory warzyw, poza takimi jak kartofle, które można było przechowywać, zostały na polach.

Pani Stasia zapoznała się z kilkoma osobami spośród mieszkańców wsi, w większości takich, którzy znaleźli się tam na lato. Przychodzili oni do nas grać w bridża. Jednym z takich znajomych, z którym pani Stasia się zaprzyjaźniła, był pan inżynier Tadeusz Nowicki[18]. Okazał się bardzo opiekuńczy w stosunku do mnie i nauczył mnie wielu szczegółów, związanych z gospodarstwem rolnym. Zabierał mnie często na pole do różnych robót rolnych, uczył i pozwalał mi prowadzić maszyny rolnicze, jak kosiarki itp., systematycznie dawał mi konia, którym jeździłem na oklep do wodopoju w rzece na drugim końcu wsi, tak jak inni wiejscy chłopcy w moim wieku.

Gdy się miał zacząć rok szkolny, musieliśmy opuścić szkołę i przenieśliśmy się do małej izdebki, a właściwie kuchni u jednego chłopa, niedaleko od rynku. Gospodarze spali w jedynej izbie, a my w

---

[18] Kilka lat po wojnie Stanisława Szaniawska wyszła za mąż za Tadeusza Nowickiego.

tej kuchence, w której stało jedno wąskie łóżko. Lusia i ja spaliśmy na ławeczkach pod oknem.

We wrześniu zacząłem chodzić do szkoły, formalnie do VI klasy, a jednocześnie na nielegalny komplet, złożony z kilkorga dzieci, łącznie z synem Kołodziejczyków, który stanowił pierwszą klasę gimnazjum. Miejscowy ksiądz, z którym byłem w dobrych stosunkach (odwiedzałem go na plebanii), uczył nas łaciny i jeszcze czegoś.

Po pewnym czasie, już gdy nastały śniegi, przeprowadziliśmy się do większego mieszkania (pokoju), z oddzielnym wejściem, trochę dalej od centrum wsi.

Mieliśmy duże kłopoty z odzieżą, ponieważ mieliśmy ze sobą tylko letnie rzeczy. Wiem, że nosiłem jakieś dorosłe, o wiele numerów za duże buty, które wypełniałem papierami. Trochę rzeczy napewno pożyczyli nam Kołodziejczykowie.

Późną jesienią zrobiły mi się czyraki na szyi i w pasie, z którymi pani Stasia nie mogła już dać sobie rady, tak że trzeba się było zwrócić do miejscowej pielęgniarki, o której było wiadomo, że jest kochanką niemieckiego oficera, komendanta wsi. Jakoś zostało załatwione, że ona miała mnie przyjąć w swoim ambulatorium i coś poradzić. Akurat gdy przyszedłem do niej, wpadł tenże komendant. Gdy ona mu jakoś wyjaśniła, po co u niej jestem, złapał mnie za głowę, wziął skalpel, czy też jakiś nóż i błyskawicznie przeciął mi ten wrzód. Po opatrzeniu rany przez nią, wyszedłem wciąż przerażony, że on mnie miał zamiar zarżnąć. Był znany we wsi ze znęcania się nad ludźmi.

Wyzwolenie

Odgłosy zbliżającego się frontu było słychać przez dłuższy czas, aż wreszcie w początku stycznia pojawili się ci oczekiwani, częściowo z przerażeniem, “bolszewicy”.

Przyszli dużą jednostką wojskową, złożoną z prawie samych Kałmuków, malutkich, skośnookich, z workami na plecach, z malutkimi konikami i różnorodnym konnym sprzętem. Jak się okazało, nie trzymali noży w zębach, czego się spodziewałem najbardziej. Rozkwaterowali się w szkole i w wielu domach, także w tym, gdzie my mieszkaliśmy (ale po stronie gospodarzy).

Następnego dnia prowadzono przez wieś grupę jeńców niemieckich i oddzielnie, schwytanego gdzieś na polach komendanta wsi. Prowadzono go, po śniegu, przy silnym mrozie, tylko w skarpetkach, ku zadowoleniu mieszkańców.

Dzień później przyjechał jeppem z Rosjanami wujek Jurek Lurie, (późniejszy) ojczym Lusi. Miał ze sobą spirytus, którym ugaszczał stacjonujących w domu Rosjan. Razem z nimi śpiewał rosyjskie piosenki, które usłyszałem po raz pierwszy. Opowiedział nam też, jak razem z matką Lusi i innymi osobami, przeżyli, ukryci w bunkrze, w gruzach domu przy ul. Mokotowskiej, od wybuchu powstania aż do wyzwolenia Warszawy. Gdy wyszli z kryjówki, Rosjanie znaleźli ukryte w niej radio i na wszelki wypadek chcieli go zastrzelić jako szpiega niemieckiego.

Tego samego dnia Jurek wyjechał z powrotem do Warszawy, zostawiając Lusię jeszcze na jakiś czas u pani Stasi. Po jego wyjeździe pani Szaniawska oświadczyła mnie, że w tej sytuacji zostaliśmy sami na świecie (nie spodziewała się, że Klemens przeżył Powstanie) i że ja będę jej synem.

Tymczasem, dwa dni później, 20 stycznia, gdy wracałem ze szkoły, jakaś kobieta podeszła do mnie i zapytała, czy ja jestem Zbyszek Jabłoński. Gdy potwierdziłem, oświadczyła mi, że jest moją mamą. Nie uznając tego za możliwe, przyprowadziłem ją do domu, przedstawiając ją pani Stasi: “Proszę Pani, ta pani mówi, że jest moją mamą”. Dowiedziałem się wtedy, że mój ojciec i siostra też żyją. O losach reszty rodziny nic nie było jeszcze wiadomo.

Następnego dnia rozpoczęliśmy podróż do Warszawy, początkowo wynajętym wozem konnym do Warki, następnie czynną już kolejką wąskotorową do Piaseczna i dalej kolejnym wozem konnym, opłaconym kawałkiem słoniny (nie chcieli opłaty w nowych pieniądzach, które mama oferowała), do Okęcia.

Z Okęcia, po zabraniu szczotki i jakichś sprzętów z popowstaniowego mieszkania mamy w kilkopiętrowym bloku, poszliśmy piechotą ulicą Grójecką i Al. Jerozolimskimi do Wisły. Było już ciemno, gdy dotarliśmy do mostu pontonowego, położonego na lodzie koło zniszczonego mostu Poniatowskiego. Czekaliśmy tam z

godzinę, zanim pilnujący go Rosjanie uznają naszą przepustkę za ważną. Dalsza droga wzdłuż Al. Waszyngtona na Grochów była bardzo ciężka, bo śnieg był wysoki i nie mieliśmy już sił. Błądziliśmy długo, zanim znaleźliśmy ulicę Korytnicką, drogi do której moja mama nie pamiętała, ponieważ tam mieszkała dopiero od kilku dni. Wszędzie było ciemno i nikt na stukanie nie odpowiadał. W końcu trafiliśmy i gdy zobaczyłem siostrę i ojca, bardzo zmalałego, ale podobnego do takiego, jak go pamiętałem, upewniłem się, że to moja rodzina.

25 stycznia 1945 r. rozpocząłem naukę w I klasie Gimnazjum im. Powstańców Warszawy na Grochowie.

Po mniej więcej tygodniu przeprowadziliśmy się do przydzielonego ojcu dwu pokojowego mieszkania, także na Grochowie, przy ul. Kickiego 2. Rodzice mieszkali tam do śmierci ojca w 1963 r.

Ojciec, który od wyjścia z Getta w marcu 1943 r. aż do wyzwolenia Pragi w październiu 1944 r. ukrywał się w mieszkaniu małżeństwa państwa Kamińskich w osiedlu ZOR na Grochowie, od razu po wyzwoleniu zaczął pracować w Zarządzie Miejskim m.st. Warszawy jako naczelny radca prawny.

Nasze mieszkanie na Kickiego, gdy wprowadziliśmy się tam, było jeszcze zajmowane przez grupę żołnierzy rosyjskich, którzy obsługiwali wojskową piekarnię w sąsiedztwie.

Nam oddali jeden pokój, a w drugim, zabudowanym pryczami spali, przeważnie w dzień, pracując w nocy. Wiosną, gdy front odszedł dalej na zachód, wreszcie opuścili nasze mieszkanie i można było przystąpić do jego remontu i urządzania.

Z naszego dawnego mieszkania w Alejach Jerozolimskich, którego frontowe pokoje były niemieszkalne, bo akurat zniszczone pociskiem, przywieźliśmy cudem zachowane ojca biurko i bibliotekę z częścią książek.

Te meble były niezwykle ciężkie i nierozbieralne, dzięki czemu nie zostały wywiezione przez okolicznych chłopów i innych, którzy ograbiali opuszczone warszawskie mieszkania wkrótce po wyzwoleniu.

KONIEC

Na okładce: jedyne zdjęcie autora, zrobione w czasie wojny, w lecie 1943r.,
W Przybyszewie koło Grójca, widoczna rzeka – Pilica.